TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 18. Chicago, Ill., Czwartek, 5-go Maja, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Pozwólcie, panowie poczciwi, władymirskim gęślarzom przyjrzeć się sądowi Bożemu! od samego miasta Władimira przyszli śmy. Pozwólcie się przyjrzeć, szlachetni panowie.

I w chytrym uśmiechu pokazał z pod czarnej brody białe zęby.

— Niech już was tam! -- odpowiedział oprycznik — stójcie, nazad się i tak nie przeciśniecie, ale naprzód się nie pchać, łeb rozwalę!

Po arenie przechodzili się sekundanci obydwóch stron. Bojarzyn, okolniczy i dwaj dyacy stali tuż za łańcuchem; ci mieli pilnować porządku w pojedynku. Jeden dyak trzymał "sudiebnik" Władimira Gusicza, wydany jeszcze za księcia Jana Wasiliewicza III i rozmawiał z towarzyszem o różnych, przewidzianych w "sudiebniku" wypadkach, jakie się w pojedynku zdarzyć mogą.

Potem zaczął czytać, wskazując palcem na ustęp w książce:

— A jeżeli nie będąc w polu nawet, "pogodzą się"... tu dyakowi przerwały okrzyki tłumów

— Car jedzie! — car jedzie! — wołano zewsząd, ciśnięto się i zdejmowano czapki.

Mnóztwem opryczników otoczony podjechał Iwan Wasiliewicz na pięknym bachmacie do miejsca pojedynku, a gdy z konia siadł, wszedł po stopniach pomostu, i skłoniwszy się publiczności, zajął swój fotel

z miną widza, oczekującege na ciekawe widowisko.

Do koła cara stali dworacy.

Wnet jęknęły dzwony we wszystkich Słobody cerkwiach, i na arenę wjechali: Wiaziemskij i Morozow, obadwaj w bojowym rynsztunku. Morozow cały, powiedziałbyś, był zakuty w stal; pierś, ręce i nogi do kolan pokryte miał blachą, srebrem przeplataną; na głowie — wysoki, srebrzysty szyszak. U biodra wisiał na ozdobnym pasie, na haczyk spiętym, szeroki, prosty tasak, ktorego rączka i pochwa także były posrebrzane. Z prawej strony siodła wisiał końcem na dół złocony "szestopier", broń i oznaka bojarskiego stanu. Oręż ten, nierozłączny towarzysz w bitwie dawnych bojarów, teraz dla swej ciężkości zupełnie nie jest używanym.

Morozow siedział na karym podpalanym rumaku, przykrytym kapą malinowego koloru, która srebrną blachą była obita. Z pod końskiego czoła, także w blachę zakutego, zwieszały się w bok malinowo-atłasowe kutasy, a z pod szyi do samych piersi wisiał takiegoż koloru, tylko daleko większy chwast, co się nazywał "naurem". Uzda i lejce były z srebrnych łańcuszków w płaskie ogniwa.

Dumnie szedł koń, podnosząc o zgiętej w pałąk szyi kosmate nogi z srebrnemi "nakolannikami". A gdy Drużyna Andrejewicz zatrzymał go o jakie dwadzieścia kroków od swego przeciwnika, począł trząść grzywą, nieledwie ziemi nie sięgającą, gryźć wędzidła i z niecierpliwością kopać piasek silnem kopytem, za każdem uderzeniem pokazując błyszczące gwoździe szerokiej podkowy. Zdawało się, że ciężki koń dobranym był do postawy tęgiego jeźdźca, a nawet biała jego grzywa tworzyła jedność z siwą głową bojarzyna.

Wiaziemskij był daleko lżej uzbrojony. Czując jeszcze ból od niedawnych ran, nie włożył na się żadnych blach, jeno lekką drucianą koszulkę. Naszyjnik połyskał mu od drogich kamieni. Zamiast szyszaka, miał na głowie "jerychonkę" czyli nizki, zręcznie wygięty hełm, pozłacany, z kitą, w rodzaju snopa ze złotych drucików, na całej długości usypanych bursztynowemi iskrami.

Z daszka hełma pionowo spadała żelazna pozłacana strzała, ochraniająca twarz od uderzeń poprzecznych. Wiaziemskij jednak udając zucha, nie opuścił strzały, owszem, podniósł ją nawet do góry, aż do samego snopa bursztynowego, przez co blada jego twarz i ciemna broda zupełnie były odsłonięte, a strzała podobną była do złotego pióra, nad czołem spiętego. Na pasie mocno ściągniętym sprzączką i ozdobionym różnemi dzwoneczkami i kółeczkami, wisiała krzywa szabla, cała drogiemi wysadzana kamieniami; ta sama co ją młynarz zażegnywał, i w której teraz Wiaziemskij pokładał jedyną nadzieję.

Do atłasowego siodła, fijoletowego koloru, wybitego srebrnemi gwoździkami i podkówkami, przymocowany był toporek z fioletową aksamitną rączką w złote pasy. Z pod drucianej koszulki widać było białą, jedwabną koszulę, wyszywaną złotem, która mu spadała na czerwone spodnie, wciśnięte w zielone safjanowe buty. Ozdobne cholewy spięte miał w dwóch miejscach perłową klamrą.

Złocistobułany bachmat Afanasja Iwanowicza, cały od łba do ogona był zawieszony grzmiącemi łańcuchami z srebrnych dętych dzwoneczków. Zamiast czapraka skóra tygrysa przykrywała mu grzbiet a na łbie, w złotych gwiazdach, świeciły duże bursztyny. Suche, czarne nogi końskie nie były podkute, natomiast u każdej pęcicy wisiał srebrny dzwoneczek.

Dawno już słychać było na placu rżenie bułanka. Teraz, z podniesionym do góry łbem, z rozszerzonemi ognistemi nozdrzami, i z nieco zadartym ogonem szedł wolnym stępem rumak, ledwie dotykając się ziemi, naprzeciw Morozowskiemu koniowi. Ale gdy Wiaziemskij szarpnął lejcami, bachmat wspiął się, i byłby łańcuch przesadził, gdyby go nie powstrzymała zręczna ręka jeźdźca. Wtedy koń znów stanął dęba, i zaczął rżeć i szarpać się w tył, jakoby chciał paść na ziemię i księcia sobą przywalić. Wiaziemskij zgiął się rumakowi do karku i wpił mu w boki ostre strzemiona. Ogier skoczył gwałtownie i stanął jak wryty. Ani jeden włosek czarnej jego grzywy nie drgnął. Nalane krwią oczy rzucały ogniste spojrzenia, a po złocistej szerści biegły nabrane

żyły, niby siatka ozdobna.

Gęślarz włodzimierski nie mógł się powstrzymać od podziwu, patrząc na Wiaziemskiego, który błyszczał, jak opryskany złotym i brylantowym deszczem. Więcej jednak zachwycał się koniem niż jeźdźcem.

— Eh koń! co za koń! — mówiąc tupając nogami i w zadziwieniu biorąc się za głowę — takiegom jeszcze nie widział! Różne szkały przechodziły przez moje ręce, a takiej Bóg jeszcze nie posłał!

— Słyszysz — mówił dalej wesoło, trącając łokciem towarzysza — który koń ci się więcej podoba?

— A tamten! — odpowiedział drągal, wskazując palcem na Morozowskiego konia.

— Dla czego tamten?

— A bo tęższy.

Gęślarz się uśmiechnął. W tej chwili rozległ się głos laufrów:

Prawosławni ludzie! — krzyczeli w różnych końcach placu — zaczyna się sądna walka pomiędzy orężnym carskim, księciem Afanasjem Iwanowiczem Wiaziemskim, a bojarzynem Drużyną Andrejewiczem Morozowem. Są obwinieni w znieważaniu siebie, w napadzie, grabieży i w porwaniu bojarki Morozowej! Prawosławni ludzie! módlcie się do św. Trójcy, żeby zwyciężyła prawa strona.

Wszyscy widzowie zaczęli się żegnać, a bojarzyn od pilnowania samego pojedynku poszedł do cara, skłonił mu się i spytał:

— Czy już zaczynać, carze?

— Zaczynać — rzekł Jan.

Bojarzyn, sekundanci i dwaj djacy odeszli w bok.

Bojar dał znak.

Przeciwnicy dobyli broni.

Przy drugim znaku powinni byli napaść jeden na drugiego, lecz ku zdziwieniu wszystkich Wiaziemski zachwiał się na siodle i wypuścił lejce z rąk. Spadłby na ziemię, gdyby sekundanci nie pomogli mu zejść z konia. Słudzy schwycili bachmata za uzdę.

— Weźcie go — rzekł Wiaziemskij, dziko spozierając do koła zamglonemi oczyma — będę się bił pieszo.

Widząc to, Morozow oddał też swego piegowatego sługom.

Sekundant Morozowa podał bojarzynowi dużą skórzanną tarczę, przygotowaną na wszelki wypadek do pieszej bitwy.

Sekundant Wiaziemskiego podał księciu także drewnianą złoconą tarczę.

Lecz Afanasij Iwanowicz nie miał siły włożyć jej na rękę. Nogi się pod nim zgięły i powtórnieby upadł, gdyby go nie podtrzymano.

— Co się z tobą dzieje, księżę? — ozwali się do Wiaziemskiego sekundant i świadek, z zdziwieniem patrząc mu w oczy — nie zaczynać walki znaczy to samo, co się poddać.

— Zdejmcie ze mnie broń — powiedział Wiaziemski, ledwie dysząc — korzeń mnie dusi.

I zrzucił swój hełm, rozerwał naszyjnik i ściągnął ze szyi plecionkę, na której wisiał woreczek z błotnistym gołębiem.

— Anatema ci, czarowniku! — krzyknął, rzucając daleko sznurek — anatema, żeś mnie okpił!

Drużyna Andrejewicz podszedł do Wiaziemskiego i gołym tasakiem nań się zamierzył.

— Poddawaj się psie! wyznaj swą podłość!

Sekundanci i świadkowie rzucili się między księcia i Morozowa.

— Nie — zawołał Wiaziemskij, i zamglony wzrok mu się zaiskrzył od dumy i złości jeszcze zawcześnie, bym ci się poddał! Ty stary kruku, oczarowałeś mnie! Tyś swój topór pokropił święconą wodą! Ja postawię za siebie drugiego i wtedy zobaczymy, po czyjej stronie prawda.

Pomiędzy sekundantami obu stron wszczęła się kłótnia. Jeden twierdził, że sąd skończony i Morozow zwyciężył; drugi, że sądu wcale nie było, bo nie było walki.

Tymczasem car kazał sobie podać woreczek, który Wiaziemskij rzucił. Obejrzawszy go z ciekawością i niedowierzaniem, przywołał Malutę.

— Schowaj to - szepnął — potem może się przyda. — A teraz — rzekł głośno — niech podejdzie do mnie Wiaziemskij.

Wiaziemskij usłuchał.

— Cóż Afonia — spytał car dwuznacznie — jakoś Morozowowi nie możesz dać wiary?

— Carze — odpowiedział książę o śmiertelnie bladej twarzy — wróg mój oczarował mnie! Oprócz tego od samego wyzdrowienia

jeszczem broni w ręku nie miał. Rany mi się odnowiły, widzisz, jak krew z pod koszulki cieknie! Pozwól carze, żeby kto inny, zamiast mnie, stanął w polu.

Prośba Wiaziemskiego była niesłuszną. Kto nie chciał sam bić się, powinien był dawniej o tem powiedzieć, a gdy raz wystąpił na arenę, cofać się nie miał prawa. Ale car miał na widoku śmierć Morozowa i zgodził się.

— Powiedz laufrowi, żeby krzyczeli do narodu, może się znajdzie kto zręczniejszy od ciebie. A jak nikt nie wyjdzie, Morozow będzie oczyszczon, zaś ciebie oddam katu.

Wiaziemskiego wzięto pod ręce i wyprowadzono.

Wnet też z jego rozkazu laufrzy zaczęli chodzić dokoła łańcucha i krzyczeć głośno:

— Mieszkańcy Słobody lub Moskwy, lub wreszcie innej ziemi! kto chce z was bić się za Wiaziemskiego? Kto chce stanąć przeciwko bojarzynowi Morozowowi? Wychodźcie! wychodźcie bić się za Wiaziemskiego!

Na placu była cisza; nikt nie wychodził.

— Wychodźcie, dobrzy ludzie — krzyczeli laufrzy — wychodźcie! kto pobije bojarzyna Morozowa temu książę da wszystkie swoje ziemie; jeżeli zaś to będzie prosty człowiek — otrzyma wszystkie pieniądze, jakie ma kniaź.

— Nikt się nie odzywał. Wszyscy wiedzieli, że świętą jest sprawa Morozowa, i car, pomimo nienawiści do Drużyny Andrejewicza, już miał ogłosić jego wygraną, gdy nagle dały się słyszeć krzyki:

— Idzie! Idzie! — i na arenie zjawił się Maciej Chomiak.

— Hoj-ha! – zawołał i gwizdnął w powietrzu szablą. — Podchodź, bojarze, jam jest za Wiaziemskiego.

Gdy ujrzał Chomiaka Morozow, który do tej chwili stał na swojem miejscu z gołym tasakiem, zwrócił się oburzony do świadków pojedynku.

— Nie będę się bił z najemnikiem — rzekł dumnie. — Nie będzie się bił bojarzyn Morozow z strzemiennym Gryszki Skuratowa.

Schował tasak do pochwy i podszedł do cara, mówiąc:

— Carze, pozwoliłeś memu przeciwnikowi, zamiast siebie postawić kogo innego, pozwól i mnie wynaleźć najemnika; niech się najemnik bije z najemnikiem, a jak nie to odłóż pole do innego razu.

Chociaż Iwan Wasiljewicz nadzwyczaj pragnął śmierci Morozowa, jednakże prośba bojarzyna była aż nadto słuszną. Car nie chciał aby go miano za niesprawiedliwego w sądzie Bożym.

— Niech laufry krzyczą! — rzekł z gniewem — a jeżeli nie znajdzie się ochotnik masz walczyć sam — a nie, to pod topór!

Chomiak przez ten czas przechadzał się dokoła łańcucha, wywijając szablą i pokpiwując z widzów.

— Ho, ho! — mówił — wielu się was zebrało, a sokoła nie masz ni jednego! Żeby też choć jeden wyszedł i mej szabli pokosztował! Widać, młócąc, ręceście sobie wymłócili! na piecach leżąc, boki odleżeli!

— Eh ty czarcie! — powiedział półgłosem gęślarz — dałbym ja ci, gdybym tak miał szablę z sobą. A ty, poznałeś go? — mówił dalej, trącając towarzysza w bok. Ale drągal na pytanie nie zważał. Rozdziawił usta, a oczami wpił się w Chomiaka.

— No, jakże tam? — wołał znów Chomiak — widać nie ma ochotnika. Hej, baby! kto się chce ze mną zmierzyć?

— A ja! — rozległ się niespodzianie głos drągala, który schwyciwszy obiema rękami łańcuch, przerzucił go przez głowę i omało nie wyrwał dębowych słupów, co do nich ów łańcuch był przytwierdzony.

A gdy na arenę wszedł zdawało się, że samemu było dziwno tej śmiałości. Wytrzeszczył oczy, otworzył usta, i patrzył to na Chomiaka, to na opryczników, to na samego cara, lecz ani słówka nie mówił.

— Coś ty za jeden? — spytał go bojarzyn, pilnujący porządku w pojedynku.

— Co, ja? — powtórzył, i pomyślawszy trochę, uśmiechnął się.

— Ktoś jest? — spytał znowu bojar.

— A Mitka — odrzekł drągal dobrodusznie, i jakby dziwiąc się, że go o to pytają.

— Dziękuję ci zuchu — odezwał się Morozow do Mitki — dziękuję, że chcesz się ująć za prawdę. Jak zwyciężysz przeciwnika, nie będę żałował dla ciebie pieniędzy. Nie wszystkoć jeszcze dzięki Bogu, mi zabrali; będzie czem podziękować obrońcy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANUSIA ŻEBRACZKA.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

— Nie bój się, Maniu, ja już wujka poproszę, aby się na ciebie nie gniewał! — pocieszyła ją i tuląc ją mocniej do siebie, przystąpiła do wysokich podwoi, za któremi lekki usłyszała szelest. Ale w tej chwili, gdy rękę podniosła aby zapukać, z pokoju drzwi otworzono, a morze światła i woni świerkowej rozlało się po sieni. Na progu stanął mężczyzna i zawołał:

— Maniu, chodź tutaj!

Ujrzawszy obcą damę, cofnął się zadziwiony; z przerażeniem wlepił w nią oczy, jak gdyby ducha ujrzał.

— Anno! — zawołał nagle, przyszedłszy do przytomności. — Anno, o Boże, czyż podobna!

Ona nie wiedziała, co się z nią działo. Ten głos, wołający ją po imieniu, widok tego męża, stojącego na progu — zaćmiło jej się w oczach; dziecko zesunęło się z jej rąk; ona czuła, że ziemia się z pod jej nóg usuwa. Ale mąż, który stał naprzeciwko niej, już oprzytomniał; czemprędzej podtrzymał chwiejącą się postać, poprowadził ją do kanapy, stojącej naprzeciwko chojenki i powtórzył cicho i żałośnie:

— Anno, moja droga Anno!

Swieczki chojenki jasnym płonęły światłem; Mania trafiła sama do swoich darów gwiazdkowych; ci dwoje jednakże, którzy na kanapie siedzieli obok siebie,—on drżącą jej rękę w swojej trzymał dłoni, — oni nie mogli znaleść drogi do rzeczywistości. Zdawało się obydwom, że to sen tylko i obawiali ocknąć się z niego bo sen był piękny i uroczy, sen pełen radości i szczęścia błogiego.

Zbudził ich dźwięczny głos dziecięcy.

— Wujku Auguście! — zawołała Mania przyskakując—więc mi Gwiazdka jednakowoż zostawiła te piękne rzeczy. I ty się też nie gniewasz, wujku?

Jakoby nie rozumiejąc tych słów, patrzał doktór w rozpromienioną twarzyczkę Mani; Anna zaś pokonała resztę rozmarzonej słabości, która ją jeszcze krępowała i podniosła się z stanowczością.

— Znalazłem to dziecko na ulicy zapłakane i samotne, panie doktorze. Przypuszczałam, że wyszło ze służącą i takową zgubiło. Wskazano mi ten dom, jako miejsce zamieszkania dziecka, a ja przyprowadziłam je tudotąd, nie wiedząc kto tu mieszka.

Podniosła się, aby odejść; on odpowiedział z lekką goryczą w głosie, ale starając się przytem nabrać tonu nieco żartobliwego:

— A więc błogosławię ciemność, która nie dozwoliła pani przeczytać nazwiska mego na tabliczce przed domem; bo gdybyś pani tam przeczytała nazwisko "Augustyn Wollheim," nie byłabyś pani zapewne wstąpiła na schody do mego mieszkania.

Zanim Anna zdołała odpowiedzieć, wpadła do salonu służąca bez tchu prawie i zawołała wśród śmiechu i płaczu radości.

— Bogu dzięki, że się znalazła, że się znalazła!

Z bezładnego jej opowiadania pokazało się, że gdy dziecko zbyt niespokojnie wyczekiwało gwiazdki, zabrała je ze sobą na miasto i tu oddaliło się niepostrzeżenie od jej boku w chwili, gdy zajęta była rozmową z przyjaciółką. W mniemaniu, że dziecko samo powróciło do domu, przybiegła spiesznie tudotąd, a nie znalazłszy dziecka, wybiegła znowu na ulicę i z rozpaczą szukała dziecka, aż jej sprzedawaczka owocu powiedziała, że jakaś pani to dziecko do domu zaniosła. Służąca nie mogła tego pojąć, że nie usłyszała żadnego wyrzutu, żadnego przykrego słowa, ale doktór Wollheim nie był usposobionym do łajania; odprawił ją krótko z przeznaczonemi dla niej podarkami i małem napomnieniem; mocno uradowana wyszła służąca z pokoju.

Gdy odeszła, zwrócił się doktór znowu do Anny:

— Z całego serca dziękuję pani za pomoc i opiekę, którąś raczyła temu dziecku udzielić. Ach, codziennie więcej się przekonywam,—dodał na pół z uśmiechem,—że dziecko u kawalera wychować się nie może. Istotnie żałuję, że nie przyspieszyłem układów z przełożoną pensyi klasztornej. Uciecha gwiazdkowa, którą temu dziecku chciałem wyprawić, łatwo się mogła w smutny sposób zakończyć. To dziecko, — wyjaśnił jej —jest sierotą po dalekim krewnym, który mię obrał za opiekuna. To maleństwo takie dobre, takie wesołe, że jabym je chętnie zatrzymał u siebie, bo jestem samotnym i opuszczonym!

-- Samotnym? — zapytała spiesznie, — opuszczonym? A rodzice pana?

— Nie żyją! Matkę pochowałem zeszłego lata!

Po licach Anny zatoczyły się łzy.

— Ta dobra, szlachetna pani umarła! O, to rzeczywiście pan się musisz czuć samotnym i opuszczonym. Ale teraz – żegnam pana, panie doktorze!

Spiesznie odwróciła się ku drzwiom, bo czuła, że ją opuszcza spokój, na który się z takiem wysileniem zdobyła; musiała czemprędzej uciec z tego zaklętego koła, które jej usidleniem groziło. Tu już nie był ów Augustyn Wollheim, którego obraz stał we wszystkich tych latach przed oczami jej duszy. Dumny, pełen zadawalniającej samowiedzy wyraz jego twarzy, ustąpił miejsca łagodnej, a nawet nieco rzewnej powadze; nieukojona, gwałtem tumiona boleść przemawiała z óczu jego wyrazistych. Szlachetne jądro wyłoniło się z szorstkiej łupiny; z radzców Gucia zrobił się mąż, mąż poważny, cierpieniem uszlachetniony, dojrzały doświadczeniem. To poznała Anna w tych kilku chwilach tego tak dziwnego spotkania i dla tego musiała się jak najprędzej oddalić. Żal, który lata już złagodziły, który ożywiające ciepło szlachetnego, czystego kobiecego serca coraz więcej stopiło, ten żal chciał zniknąć w obec tego poznania, jak ostatnia cienka skorupa lodu, która ziemię oddziela od wiosny.

— Żegnam pana!

Ale ręka, która dotknęła się klamki została lekko ściągnięta; Mania stała przed nią, patrzała ku niej błagającym wzrokiem i prosiła z cicha:

— Ach, zostań, zostań, bo wujek jednak będzie łajał. Zostań, ja cię też tak bardzo kocham!

Mała sierotka przytuliła się do niej i tak mocno przytuliła się do jej sukni, że nie mogła się prędko oderwać, nie chcąc małej sprawić przykrości. Wtenczas wzrok jej jeszcze raz padł na tego, którego chciała opuścić. On padł na kanapę i zakrył twarz dłonią; oblicze jego było blade, a drżącemi ustami rzekł z cicha:

— Anno, ty idziesz? Anno, więc nie możesz mi nigdy przebaczyć?

Wtem miękka ręka spoczęła na jego głowie, pokrytej jeszcze, jak za czasów dziecięcych, jasnemi kędziorami; głos tłumiony łzami jakoby pieśnią błogą zadzwonił o jego ucho:

— Gucio drogi.

Na czole poczuł gorący pocałunek, a potem wybiegła, znikła jak sen uroczy.

IX.

Po południu pięknej wiosennej niedzieli wyjeżdżał elegancki kocz doktora Wollheima z ulic miasta na polną drogę.

W powozie siedział doktór obok swej pięknej uroczej małżonki, w której obliczu odbijało się pogodne i wesołe niebo wiosenne. Chociaż już jej minęły pierwsze lata młodości, to jednakowoż dziwny urok spoczywał na świeżej jeszcze twarzyczce, bo nic człowieka tak nie odmładza jak szczęście i miłość prawdziwa. A tak było z małżonką doktora Wollheima; tak, ona się czuła szczęśliwą, szczęśliwszą jeszcze jak Mania, która pomiędzy nimi siedziała i od czasu do czasu z radości klaskała w rączki.

— Czy powiesz mi teraz wreszcie, o niedobry mężu, dokąd nas wieziesz? — zapytała Anna, gdy doktór na wszystkie dotychczasowe pytania, co do celu podróży odpowiadał uśmiechem.

— Czy nie znasz tej drogi, Anusiu? — zapytał.

— Naturalnie, że ją znam dobrze, bo nieraz jechaliśmy tędy z nieboszczykiem dziadkiem; ale tego we mnie nie wmówisz, Guciu, że tę podróż, do której z takiemi tajemniczemi uwagami i domyślnikami się zabierałeś, podejmujemy tylko do tej wioski tam na dole, aby w jej gościńcu wypić kawę podejrzanej dobroci. Ty masz jakieś zamiary! Zaraz mi się przyznaj!

— No, więc jeźli już koniecznie nie chcesz niespodzianki, to ci powiem! Oto odwiedziny starego przyjaciela z lat dziecinnych, który tam mieszka. Czy przypominasz sobie jeszcze te dwa jasne główki, Jasia i Edwarda Fichtnera?

— Naturalnie!—powtórzyła Anna z uśmiechem.

— A zatem! Jaś, którego białą czuprynę raz w mojej obronie porządnie wyjarałaś—pamiętasz jeszcze?—ten po rozmaitych gorzkich zawodach wstąpił do stanu duchownego i w tej wsi jest plebanem. Obiecałem mu, że swoją żonę do niego przywiozę. Wyobrażam sobie jego zadziwienie, jak ciebie pozna!

— Nie pozna mię z pewnością! Jasio Fichtner zna mię tylko jako "Anusię żebraczkę!"

— Anusiu, nie to słowo! — błagał zasmucony nagle, a oblicze jego się zasępiło.

Z łagodnym uśmiechem ujęła jego rękę i rzekła czule:

— Już dziś to słowo nie boli, Gucio odkąd jestem twoją Anusią, twoją żoną, która przy tobie tak jest szczęśliwą.

On z uczuciem jej rękę przytulił do swej twarzy.

— Ty niedobra, niedobra żono! Ale mnie ono sprawia boleść i gorycz niesłychaną! To słowo pozbawiło mię kilka lat życia.

— Nie, Guciu, to nie. Później dopiero poznałam, że wtenczas, kiedy ci to gorzkie słowo oddałam, i we mnie wiele jeszcze było, coby mogło szczęście nasze zakłócić, jeżeli nie zupełnie zniweczyć. Nagła zmiana położenia mojego pozbawiła mię równowagi umysłu i serca; stałam się pyszną, Guciu, bo inaczej nie byłoby mi trudno, przebaczyć ci to nierozważne słowo. Ja siebie tem najwięcej ukarałam, a w tych latach, które po owym dniu nastąpiły, gdyśmy się na zawsze rozstali, przyszłam zwolna do poznania, jak daleko wtenczas byłam od tego, co słuszne i rozsądne; a i ty — wybacz moją szczerość — i ty wtenczas jeszcze zanadto w to dufałeś, że twój ojciec był radzcą. Późniejsze nasze szczęście daleko silniejszą teraz ma podstawę.

— Masz słuszność, moja Anusiu! Najlepiej tak, jak się stało: mnie samotnemu, któremu życie całe stawało się ciężarem, Gwiazdka ciebie przyniosła!

— Ach, Guciu, gdybyś wiedział, co ja w ten wieczór cierpiałam! Byłam tak opuszczona, tak smutna! Jak teraz zupełnie inaczej od chwili, gdy ciebie znalazłam.

Wtem zatrzymał się powóz u bramy plebanii, a pleban wyszedł na powitanie przyjaciół.

— Już mi tu ptaszyna wyśpiewała, kogo sobie mój Gucio wziął za żonę. No, to pewnie teraz będę musiał strzedz swojej czupryny!

— Jakże ksiądz dobrodziej przypuszczać możesz, abym się na święconą głowę targnęła!

— Już ona zaczyna siwieć! — odrzekł pleban z cicha, wzdychając, i pogładził ręką głowę, na której włosy tak samo jeszcze były najeżone, jak w dziecinnych latach. Wprowadziwszy gości do plebanii, na ich przyjęcie pięknie przyozdobionej, ujął jeszcze raz ich ręce i rzekł wzruszony:

— Od serca was witam w swoim domu, kochani przyjaciele. Tak, tak, Gucio zawsze trzymał z Anusią, i tak też niech pozostanie na wszystkie czasy przy pomocy Boskiej i błogosławieństwie niebios!

KONIEC.

BOGATA DZIEDZICZKA.

Pan Symforyan Kręcicki należał do bardzo zdolnych adwokatów, ale nie był ani lubiany, ani szanowany, bo w nic nie wierzył, prócz w pieniądz, i aby dojść do grosza, nie usuwał się nawet przed współudziałem w brudnych spekulacyach.

W biórze jego nie wyglądało inaczej, jak w innych podobnych biórach. Na lewo przy oknie siedział sekretarz Bzyl, prawdziwa karykatura. Twarz jego miała kształt

mniej więcej trójkątny, co jeszcze więcej uwydatniały dwa sztuczne potężne kędziory po obu stronach czoła i spiczasta kozia bródka. Na grzbiecie miał Bzyl potężny sęk, który się niczem zasłonić nie dał; krótkie i cienkie, jak badyle nogi, zdawały się być przyrośnięte bezpośrednio do żołądka, stopy zać długie szeroką tworzyły podwalinę tej pociesznej figury. Bliżej drzwi siedział pisarek Smielosz, zgrabny, gładki młodzieniec, w dwudziestym pierwszym roku życia, który — tak to zwykle bywa na świecie! — pod względem wykształcenia i nauki dwudziestu takich głowaczy, jak pan sekretarz, mógł schować do kieszeni, bo ten nie miał wykształcenia żadnego, ale pracując u pana Kręcickiego przez dwanaście lat jako pisarek, nieomylną sobie wyrobił rotynę. Smielosz zaś został pisarkiem z potrzeby; uczęszczał on do gimnazyum i doszedł aż do prymy, ale że mu więcej figle siedziały w głowie, jak nauka, więc też doigrał się wreszcie tego, że go pewnego pięknego dnia, mianowicie gdy i szkolne jego od dawnego czasu zalegało, z gimnazyum wydalono.

Smielosz był biedny i goły; stara, schochała, przyrodnia siostra, która na całym świecie nikogo nie miała, nakłoniła go do tego, że się uciekł do piórka, a nie mając żadnego w życiu doświadczenia i nie wiedząc sobie rady, zgłosił się do pana Kręcickiego o wakające właśnie miejsce pisarka. Adwokat nie bardzo chętnie patrzał na tego kandydata, bo mu bynajmniej nie chodziło o człowieka uczonego, ale o urzędnika, któryby umiał pięknie przepisywać i w służbie był akuratnym, a jednego i drugiego nie spodziewał się po tym zepsutym studencie.

Tymczasem Smielosz obowiązek swój wypełniał lepiej, jakby się po nim spodziewać należało. On, który lubił żyć gwarno i wesoło, siedział teraz nawet po za czas obowiązkowy w biórze i pisał, aż mu palce zesztywniały, aby w końcu miesiąca jak najwięcej mógł dać na utrzymanie domu biednej siostrze, z którą razem mieszkał na poddaszu; a było to bardzo mało mimo usilnej i natężonej pracy. Nadto wiele przykrości znosić musiał od pokraki Bzyla, który mu zazdrościł jego zgrabnej postaci i urody, więc z góry go traktował, dawał mu uczuwać swoją nad nim przewagę i przy każdej sposobności go szykanował.

Bzyl był powiernikiem, prawą ręką swego szefa, po części dla tego, że na wykrętach i nieuczciwych sztuczkach tak samo się znał, jak jego mecenas i że z upadającą uniżonością umiał mu schlebiać. Smielosza uważał pan Kręcicki tylko jako machinę do przepisywania.

Pan Kręciki zupełnie przystawał do swego sekretarza. Obaj byli po jednych pieniądzach. Pięknością też pan Kręcicki nie wiele przewyższał Bzyla. Był to pięćdziesięcioletni stary kawaler, z nadętą śniadą twarzą, z twardym, najeżonym włosem i szorstkiem, gburowatem zachowaniem. Jako prawnik był pan Kręcicki wcale biegłym, występował śmiało i z pewnością siebie, przyjmował bez skrupułu obronę najnieuczciwszych spraw i bronił każdego klienta i najgorszego łotra, byleby ten tylko mógł mu zapłacić. Takim jednakże pan Kręcicki nie był zawsze. Przed laty miał on znakomitą praktykę i wielkie wzięcie, a nawet był lubianym w wyższych warstwach społeczeństwa. Tymczasem życie jego rozpustne pochłoniło więcej, niż mu świetna jego przynosiła praktyka; skompromitował się przez olbrzymie długi i życie z pewną osławioną osobą, która go zruinowała na sławie i na majątku. Odtąd w wyższych stanach stracił zaufanie i praktykę, unikano jego towarzystwa, a on stał się szorstkim i złośliwym, łakomym i chciwym, i niejednego prawie ze skóry odzierał bez litości — a im więcej na tej nowo obranej drodze zyskał majątku, tem więcej rosła jego chciwość.

Obecnie jego bióro tak było szczupłe, że jego pracownia znajdowała się w tej samej izbie, co jego pisarzy, i tylko parawanem od nich był oddzielony. W tym czasie zajmował się planem, który co dopiero był ułożył, a był to projekt nowego spekulacyjnego towarzystwa akcyjnego, na którego czele on sam chciał stanąć i zgarnąć dla siebie śmietankę.

Pewnego dnia z rana znalazł pan Kręcicki pomiędzy listami nadeszłemi pocztą,

które Bzyl, jak zawsze, złożył był na jego pulpicie, list wielki, opatrzony pieczęcią urzędu zagranicznego w Londynie, a w liście tym stało: "Pewien obywatel, nazwiskiem Paweł Jonasz, zmarł bezdzietny w mieście Melbourne, w Australii, pozostawiwszy 400,000 funtów szterlingów (8 milionów marek) majątku" (pan Kręcicki podskoczył na krześle wyczytawszy olbrzymią tę sumę,) "a pan adwokat Kręcicki w X. zamianowany jest przez zmarłego egzekutorem testamentu."

Pan Kręcicki wykrzyknął z zadziwienia i radości; Bzyl ciekawie nadstawił ucha.

"W testamencie," czytał sobie adwokat dalej, "który sądownie został otworzony, następujący znajduje się ustęp: Majątek mój, który złożony jest w asygnatach angielskiego banku w Londynie, przypaść ma jedynej mej siostrze, Adelajdzie Jonasz, a w razie jej śmierci, jej potomkom. Gdyby zaś ani siostra moja nie żyła, ani też żaden z jej potomków natenczas przekazuję cały mój majątek mojemu miastu rodzinnemu X. na cel dobroczynny, pod warunkiem, że fundacya moje nosić będzie imię. Upraszam pana adwokata Symforyana Kręcickiego w X., który mi przed dwudziestu i czterema latami wielką wyświadczył przysługę — —

— Hm, hm, wielką wyświadczył przysługę! — powtórzył pan Kręcicki do siebie, a potem głośno zawołał:

— Bzyl, poszukaj asan jeno w rejestrze klientów Pawła Jonasza, podobno to już dwadzieścia i cztery lata temu.

— Dobrze, zaraz! — odpowiedział sekretarz i zaczął szperać pomiędzy aktami.

— "Wielką wyświadczył przysługę," — czytał Kręcicki dalej, — "aby był egzekutorem niniejszego testamentu, ku czemu majątek mój ma mu być wydany. Gdyby zaś i on nie był przy życiu, natenczas rodzinne moje miasto samo będzie egzekutorem tego testamentu." Kancelarya urzędu zagranicznego dodała jeszcze, że cały majątek leży przygotowany w Londynie i za legitymacyą odebrany być może.

Pan Kręcicki bardzo był wzburzony. Przez całe dziesięć minut nic więcej nie robił, jak tylko biegał po przeznaczonej dla siebie części izby jak opętany i wciąż powtarzał tę kolosalną sumę, którą on miał złożyć w ręce nieznanych spadkobierców. Taki ogromny interes nie zdarzył mu się w całej jego praktyce.

— Ogromne! Niesłychane! — szeptał. — Blisko trzy miliony talarów, i to bez wszelkiego zastrzeżenia, aby całe, albo przynajmniej w wielkiej części nie pozostały w moich rękach! Ba, przy takim interesie już można coś zyskać — nie potrzebując się posunąć za daleko.

W tej chwili pojawił się Bzyl, trzymając w ręku fascykuł akt, zupełnie od kurzu zczerniały.

— Była to sprawa kryminalna, — rzekł. — Pewien Paweł Jonasz, czeladnik mularski, oskarżony był o kradzież zamkniętych przedmiotów, a wskutek świetnej obrony wielmożnego pana mecenasa został uwolniony.

Kręcicki na głos się roześmiał.

— A więc złodziej — naturalnie że złodziej, bo inaczej by mnie nie był wybrał na obrońcę! I ten człowiek pozostawia po dwudziestu i czterech latach czterykroć sto tysięcy funtów!

— Czterykroć sto tysięcy funtów talarów? — zapytał Bzyl bez tchu prawie.

— Funtów szterlingów, ośle! To dwa miliony sześćkroć sto tysięcy talarów. Musimy się wynieść do Australii, Bzylu, tam jeszcze są złote góry, podczas gdy tu w najkorzystniejszym razie kurz z akt łykać musimy. Ale do rzeczy! Jestem przez wzmiankowanego Pawła Jonasza mianowany egzekutorem testamentu — ten człowiek miał rozum, prawda? — i chodzi teraz o to, aby odszukać niejaką Adelajdę Jonasz, albo też z domu Jonasz, a zamężną tak i tak, — przecież tymczasem dawno była mogła pójść za mąż. To rodzona siostra testatora.

— I ta kobieta ma być generalną sukcesorką? — zawołał Bzyl zdziwiony.

— Według prawa, z woli zmarłego. Ależ gadaj po cichu, człowiecze, bo niedyskrecya tylko by nam mogła szkodzić. Gdy odszukamy sukcesorkę albo jej potomstwo, to wprzódy musimy ich porządnie skruszyć, zanim się o swojem szczęściu dowiedzą. Chybaby wszyscy djabli przeciwko nam się

sprzysięgli, gdyby nam tá historya ogromnego nie przyniosła zysku. Zresztą i sama ludzkość nam nakazuje, abyśmy byli ostróżni i język trzymali za zębami. Ci ludzie mogliby dostać pomieszania zmysłów, gdyby się bez powolnego przygotowania dowiedzieli, że odziedziczyli miliony. Najgorszą by było sprawą, gdyby żadnego spadkobiercy nie było, bo w takim razie cały majątek przypadłby miastu—co za waryactwo! A toby się dopiero ci panowie śmiali, gdybym był zmuszony wypłacić im te czterykroć sto tysięcy funtów! Życzyłbym je raczej samemu djabłu! No, a teraz, mości Bzyl, weź nogi na ramię i leć na policyą, do proboszczów, do lazaretów i t. d. i t. d., gdzie tylko będziesz mógł powziąć jaką wiadomość, ale ostrożnie, dyskretnie, aby nikt nie wiedział, o co chodzi! Bądź pewien, że i dla ciebie skapnie niemało.

Sekretarz ściągnął swe zielone perkaliowe rękawki, które zawsze w biórze nosił dla ochrony rękawów surduta, sięgnął po swój łokciowy, świecący się cylinder i dumne spojrzenie rzucając na Smiełosza, wybiegł z bióra.

Smiełosz czuł się mocno dotknięty. Uważał on to za wielkie i brutalne ubliżenie dla siebie, że pryncypał w jego obecności potajemnie konferował z człowiekiem, który też nie był niczem lepszem, tylko prostym pisarkiem, a tem samem dał jemu, t. j. Smiełoszowi, dowód niezaufania, jakoby był gadułą i zdrajcą.

— Pod takiemi warunkami,—myślał sobie Smiełosz,—byłoby waryactwem z mojej strony, gdybym ja się rządził delikatnością. W każdym razie będę się starał wyśledzić tę tajemnicę.

Pan adwokat znowu rozpoczął niespokojny swój spacer po izbie, mrucząc pod nosem urywane słowa, potem wyszedł na chwilę, a z tego czasu korzystał Smiełosz, podskoczył jak kot do jego biórka i oczami szukał tego ważnego papieru. Nigdzie go jednakże nie było. Cichaczem wysunął szufladę i tam znalazł ów list na pół złożony. Spiesznie przejrzał pismo, położył je znowu na swojem miejscu i siedział już na swojem krześle, gdy adwokat wszedł do izby.

— Aha, więc to taka sprawa! — rzekł Smiełosz sam do siebie.—W mętnej wodzie chcą rybki łowić! No, no, możeby się tu przydała i nieźle opłaciła mała spekulacyjka prywatna. Może w tem więcej będę miał szczęścia, jak ten ograniczony pokraka. Aż mi się serce śmieje na myśl, że tę nadętą sztukę wysadzę z siodła i na własną rękę szczęścia sobie zdobędę! Cokolwiek przebiegłości, to nie grzech, a przecież szanowny pan pryncypał sam obecnie wypracowuje plan, aby bezczelną gryndarką wypróżnić kieszenie szanownej publiczności.

Tak argumentował Smiełosz, a w poczuciu, że zna tę wielką i ważną tajemnicę, siedział jak na węglach.

Po kilku godzinach powrócił Bzyl.

— Poszukiwania moje taki odniosły skutek, — rzekł do adwokata — Siostra Pawła Jonasza, który bez paszportu wyniósł się w świat daleki, mieszkała tu dawniej i poszła za mąż, za Wojciecha Hertla. Z tego małżeństwa pozostało jedno dziecko. Ów Hertel, został później, jak powiadają, wskutek rozrzutności swej żony, do ostatniej doprowadzony nędzy i umarł. Potem wdowa po nim wyniosła się w świat i w żaden sposób nie udało mi się wyśledzić, dokąd się udała i gdzie się obraca. To zdaje się być pewną, bo wszędzie słyszałem to samo, że ta kobieta rozwiozłe prowadziła życie.

— A więc ją niezawodnie w jakim kącie świata już djabli wzięli — głupia historya! — zawołał Kręcicki gniewnie. — Nic nam teraz nie pozostanie, jak wezwać ją przez gazety. Kiedy się urodziła?

— W roku 1831.

— A zatem miałaby około czterdziestu i dwóch lat. Hm, toby jeszcze żyć mogła. Ale gdzie—gdzie? A kiedy jej dziecko się urodziło?

— Według ksiąg kościelnych w roku 1852.

— Maskilinium czy femininium?

— Nie, Hertel, proszę pana mecenasa. Hertel się nazywa.

— Ja się pytam, czy to chłopiec, czy dziewczę? Ośle!

— Dziewczę, dziewczę, panie mecenasie! — odpowiedział Bzyl rumieniąc się ze wstydu i gniewu, że sobie w obec pryncy-

pała dał świadectwo takiej głupoty.

— A więc dziewczę. To też prawdopodobnie jeszcze żyje! — mruczał Kręcicki. — No, słuchaj jeno, mości Bzyl, spodziewam się, że mi się postarasz o dokładne wiadomości o jednej albo o drugiej z tych kobiet. To, coś dotychczas wyśledził, tyle znaczy, co nic.

Sekretarz patrzał zgłupiały; był on w tem przekonaniu, że nadzwyczaj ważne zrobił odkrycia, a tu zamiast pochwały ponowną otrzymał naganę. To go mocno truło.

— Nie spocznę prędzej, dopóki nie wyśledzę, czego potrzeba, wielmożny panie mecenasie,—odpowiedział potulnie.

— A ja cię za to zwalniam od wszystkich mniej pilnych prac, abyś miał czas gruntowne robić poszukiwania. Chociażbyś sobie nogi ubiegał, chociażby ci język wisiał na dwa łokcie, — biegaj i pędź na wszystkie strony, a wytrop mi te kobiety, człowieku! Trzeba kuć żelazo, póki gorące!

Odtąd Bzyl krzątał się i biegał jak postrzelony: zaprzyjaźnił się z wszystkimi policyantami, agentami, stręczarzami i stręczarkami, posługaczami, kelnerami i t. p.; częstował piwem i wódką, obiecywał grubsze poczęstne, pieniądze, a nawet wielkie sumy, gdyby się przyczynili do wytropienia owej Adelajdy, na ciekawe pytania odpowiadał krótko, że sam nie wie o co chodzi, bo działa z polecenia swego pryncypała; albo też kłamał, że tu chodzi o pretensyą do tej niewiasty. Tymczasem pomimo swej gorliwości nic nie zbierał, prócz goryczy. Codziennie z rana wołał na niego adwokat: "Jakże, jeszcze nic?" W południe: "Ej, mości Bzyl, bardzo mało się nauczyłeś w mojej szkole!" A wieczorem: "No pokaż raz przecież, że masz coś więcej, jak sieczkę w swojej mózgownicy!"

Smiełosz tymczasem zwrócił swoją uwagę na inne pole: z największą bystrością, na jaką się mógł zdobyć, tropił za śladem córki Hertlowej. Nasamprzód dowiedział się po kilkudniowych poszukiwaniach, że Adelajda Hertel pozbyła się tego dziecka zaraz po śmierci swego męża, gdy to zaledwie miało trzy kwartały; oddała je komuś na wychowanie, ponieważ jej było niedogodne dla rozwiozłego jej życia. W tydzień potem już się wywiedział, że przybraną matką tego dziecka była wdowa Bilska, daleka powinowata Hertla; ta przyjęła to dziecko w miejsce zmarłego własnego dziewczęcia, a że była zacną i dobrą kobietą, więc dała jej staranne wychowanie. Mieszkała ona na przedmieściu, zamieszkałem głównie przez robotników i była praczką, podczas gdy Marynia dopomagała jej prasowaniem i szyciem. Obie niewiasty znane były całemu sąsiedztwu jako uczciwe, zacne i skromne, i jakkolwiek ubogie, powszechnego zażywały szacunku.

Tak dalece poszukiwania Smiełosza znakomitym uwieńczone były skutkiem, czuł się więc dumnym z tego, tem więcej, że Bzyl, jak to wnioskował z uwag i zarzutów czynionych przez adwokata, nic a nic jeszcze nie wytropił. Teraz chodziło Smiełoszowi o to, aby się do dziewczęcia zbliżyć. To było rzeczą niełatwą, bo stara ciotka pilnie nad nią czuwała. Im większą rozpustnicą była jej matka, tem stateczniejszą miała być córka.

Marynia sama zdawała się być niedostępną, bo dobrze była wychowaną, a może też już jej serce nie było wolne? Któż zdoła odgadnąć serce kobiety! Ale Smiełosz nie spoczął. Sledził ją na każdym kroku tak długo, aż razu pewnego udało mu się zaczepić ją, a uczynił to tak skromnie i tak szczerze przemówił, że zrobił na dziewczęciu dobre wrażenie. Z tej znajomości poszło, że Marynia odwiedziła siostrę Smiełosza, która się rzetelnie przyczyniła do tego, aby stosunek obojga lepiej jeszcze skleić. Marynia polubiła tego młodzieńca, który teraz zupełnie się zmienił, zeskromniał i zrobił się statecznym, a Smiełosz poznawszy Marynię lepiej, największy czuł dla niej szacunek i niekłamaną miłość, tak iż o pierwotnym swym celu tj. o bogatym spadku zupełnie zapomniał. Stosunek młodych ludzi pozostał naturalnie jeszcze tymczasowo dla ciotki tajemnicą.

— Powiem ci coś nowego, Maryniu, — rzekł do niej razu pewnego Smiełosz, — oto oczekuje ciebie, albo raczej matkę twoją mała sukcesya. Wiem o tem przez mojego pryncypała. Ale pamiętaj, nie mów o tem do nikogo obcego, dopóki mnie samemu nie

będzie wolno o tem mówić. Musimy tylko o tem pomówić z twoją ciotką, może ona wie, gdzie się twoja matka obraca.

Marynia zręcznie przysposobiła ciotkę. Opisywała przed nią tego młodego człowieka, którego przypadkowo była poznała, jako wzór cnót wszelkich. Jednakże pani Bilska dopiero wtenczas się nim zainteresowała, gdy się dowiedziała, że coś wie o sukcessyi.

— Przyprowadź go tu,—rzekła do Maryni; — ja zaraz się przekonam, czy zamiary jego są uczciwe. Wy młodzi ludzie nie rządzicie się rozumem, ale zwykle tylko sądzicie z pozoru.

Tymczasem Smiełosz bardzo korzystne na nią zrobił wrażenie, a od tej chwili wygrana była po stronie młodych.

— Oj tak, ta matka! — mówiła ciotka, gdy ją Smiełosz w nieobecności Maryni o nią zapytał.—Jeszcze do dziś dnia — Panie odpuść! — mam ją na wątrobie. Dziesięć lat przeszło już temu, jak się o swoje dziecko ani nie spytała, ani złamanego szeląga na dziecko nie dała. Ale ja też jej pieniędzy teraz nie potrzebuję. Marynia jest obecnie mojem dzieckiem, a ja dumną z niej być mogę. Strzegłam jej, jak oka w głowie.

Na pytanie Smielosza opowiadała dalej, że już przed swem zamężciem Adelajda nie bardzo budujące prowadziła życie, a i potem nie była lepszą, tak że męża wpędziła do grobu. Przed sześciu laty mniej więcej pojawiła się znowu w swem rodzinnem mieście, ale długo nie bawiła, lecz uciekła znowu w świat z pewnym rytownikiem, człowiekiem nadzwyczaj zdatnym, ale niegodziwym.

Smiełosz poradził wezwać Adelajdę przez gazety i też zaraz tego samego dnia umieścił w jednem z największych pism odnośny inserat. Rozumie się, że w wezwaniu tem nie podał mieszkania adwokata, tylko adres wdowy Bilskiej, do której się matka Maryni miała zgłosić.

Adwokat przeczytał inserat w gazecie i strasznym wybuchnął gniewem.

— Mości Bzyl! — zawołał. — Chodź i czytaj!

Sekretarz przybiegł za parawan, przeczytał i oniemiał.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał pan Kręcicki, — czy za mojemi plecami manewrujesz na własną rękę?

Bzyl zaklinał się na wszystkich świętych, że nigdy by się na coś podobnego nie był odważył.

— A zatem wybajałeś, jak stara baba! Zepsujesz mi jeszcze cały interes. Cóż to za kobieta, ta Bilska?

— Zaraz się pójdę wywiedzieć, wielmożny panie mecenasie.

— Więc biegaj i przynieś mi wiadomość: ja potem zobaczę, co zrobić dalej.

Bzyl odszedł. Na Smiełosza jeszcze teraz żaden z nich nie miał podejrzenia; uważano go po prostu jako bezmyślną machinę do przepisywania. Smiełosz też siedział cichutko i najniewinniejszą w świecie miał minę.

— Poczekajcie, — pomyślał sobie, — poznacie wy mnie, jeno czas przyjdzie!

Gdy Bzyl wszedł do mieszkania wdowy Bilskiej, nie było Maryni właśnie w domu. Pani Bilska z pewną podejrzliwością powitała pokrakę, bo do wszystkich garbatych miała uprzedzenie.

— A więc to u pani znajduje się córka pani Hertel z domu Jonas?

— I cóż panu do tegoż — zapytała stara wdowa zgryźliwie. — Czy pan byś może się z nią chciał ożenić?

— O, z największą chęcią, — odpowiedział Bzyl, uszczęśliwiony tym nowym pomysłem. — Wezmę ją z zamkniętemi oczyma i z pewnością będę wzorowym mężem.

— Pan i wzorowym mężem? Ano tak, masz pan racyą, — odpowiedziała wdowa szyderczo się uśmiechając. — Ale nie fatyguj się pan zanadto; dziewczę już ma narzeczonego.

— Co? Już ma narzeczonego? A czy wolno wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym?

— Niepotrzebna ciekawość. Gdy się pobiorą, to już ludzie się o tem dowiedzą. Ale przepraszam pana, że pana pożegnam, bo nie mam czasu do próżnych gawęd; my biedni ludzie żyjemy z pracy rąk naszych.

Bzyl już miał na języku wzmiankę o owej bogatej sukcessyi, aby starą sobie ująć, ale się bał swego grubijańskiego pryncypa-

ła, więc ugryzł się w język i poszedł z kwitkiem.

— Kroćset tysięcy! — mruknął sobie, gdy był na ulicy i palec przyłożył do nosa. — A toby kapitalna była rzecz, gdybym się z tą dziewuchą mógł ożenić! Taka sukcesorka! Trzeba spróbować ująć starą pieniędzmi, aby tę nasamprzód dla siebie pozyskać.

Tą myślą zajęty, pobiegł jak szalony do swego pryncypała.

— Zrobiłem szczególniejsze odkrycie, — mówił bez tchu prawie. — Znalazłem córkę Hertlowej. Są to bardzo ubodzy ludzie. Gdybyś pan był taki dobry, wielmożny panie mecenasie i dał mi dla starej jaką sumkę, toby się może dała nakłonić, aby dziewczę tudotąd przyprowadzić. Niema ona odpowiedniego ubrania i trzeba ją, że tak powiem, wpierw umundurować.

— Hm, hm, — no to ja sam do niej się udam — oświadczył pan Kręcicki. — Ej, do stu klinów, toby była partya dla mnie! — mówił do siebie, ale zupełnie głośno. — Może nawet to dziewczę jest piękne, a chociażby była straszna jak djabeł — z takim posagiem możnaby i ostatecznie pojąć jędzę.

Bzyl zadrżał.

— Kiedy ona niestety już ma narzeczonego,—odezwał się z pospiechem.

Smiełosz śmiał się w duchu w czasie tej rozmowy, chociaż mu serce gwałtownie biło.

— Już ma narzeczonego? — zawołał adwokat. — Niech go wszyscy djabli wezmą! Niezawodnie to biedny jaki chłystek, którego natychmiast puści w trąbę, gdy jej garściami sypnę złotem. Już ja się tego narzeczonego pozbędę. A zatem gdzie ona mieszka?

— Szeroka ulica, numer dwudziesty i piąty, — jęknął Bzyl.

— Dobrze zaraz tamdotąd pójdę.

Adwokat udał się do swego pomieszkania, aby się staranniej ubrać. Z tej chwili skorzystał Bzyl, aby się dla zmyślonego powodu z bióra oddalić. Pospieszył co tchu do pani Bilskiej i z nią i z Marynią umówił, aby się ta ostatnia żadną miarą adwokatowi nie pokazywała i aby się z nim w ogóle w żadne pertrakcye nie wdawano. Wieczorem miał powrócić i dowiedzieć się, jaki ta wizyta wzięła obrot. Zarazem jednakże postanowił podziękować adwokatowi za miejsce, aby się z pod zwierzchnictwa tego człowieka zupełnie usunąć. Teraz jeszcze dłużej od niego być zależnym, uważał za rzecz nie bardzo bezpieczną.

W pół godziny potem zajechała dorożka przed mieszkaniem pani Bilskiej, a z dorożki wysiadła — pani Adelajda Hertel. Miała ona na sobie ubiór kosztowny, podpadający, i całem swem zachowaniem zdradzała, że w niczem a w niczem się nie zmieniła, tylko że wyglądała nieco podstarzała i mocno przeżyta. Nadawała sobie przytem pozór tak dystyngowany, że pani Bilska nie mogła się utrzymać, aby jej powitać z szyderczem ugrzecznieniem.

— No, — zawołała, — raczyła jejmość wreszcie powrócić? Gdzie się asani dotychczas wałęsałaż.

— Wałęsała! Fe, jak ordynarnie! — zawołała Adelajda pogardliwie.

— Od tego też jesteśmy sobie tylko ordynarnymi ludźmi. Naturalnie, ubierać się w jedwabie i aksamity, grzesznym bogacić się zyskiem i tłuc się po świecie z wyrzutkami społoczeństwa, to nie ordynarnie.

— Czy mam może me życie przepędzić nad wanną i rozrabiać szare mydło?

— Praca nie hańbi nikogo, moja kochana!

— Ale nie każdy do niej stworzony. Dręczyć się i mozolić, to nie wedle mojego gustu. Zresztą proszę o troszeczkę cierpliwości, mości pani Gderalska, a spodziewam się, że wdzięczność moją, inaczej, jak tylko gołemi słowami będę ci mogła wyrazić.

W tej chwili znowu zajechała dorożka i wkrótce potem pan Kręcicki zakołatał do drzwi i z pospiechem wszedł do ubogiej ale schludnej izdebki wdowy. Na widok Adelajdy Kręcicki odskoczył jak oparzony. Oboje przez chwilę patrzeli w niemem osłupieniu na siebie.

— Dokąd ja tu właściwie zaszedłem?— zapytał pan Kręcicki gniewny raczej, jak zadziwiony. — Czy tu mieszka pani Bilska?

— Ja nią jestem, — odrzekła wdowa.

— Ale mnie nie spodziewałeś się pan tu zastać, prawda? — zauważyła Adelajda

szyderczo, układając resztki przekwitłych wdzięków do czarującego uśmiechu. — Tak, już niestety nie jestem czarującą istotą, jak dawniej.

— Czasy minione! — mruknął adwokat. — Zresztą nie widzę bynajmniej potrzeby, abyśmy w tej chwili i tu na tem miejscu odgrzewali stare dzieje i niemiłe wspomnienia. Przyszedłem tu w urzędowym interesie. Dowiedziałem się, że tu mieszka dziewczę, Marya Helena Hertel.

— To moja córka, - oświadczyła Adelajda.

— Jak? Co?

— Ej, panie mecenasie, widać, że się pan ani dawniej, kiedy udawałeś, że się we mnie kochasz, ani też później nie troszczyłeś się o moje rodzinne stosunki. To pan widać nic nie wiedziałeś, że ta ongi "piękna Helena" miała jeszcze inne, prawdziwe imię, a to brzmi: Joanna, Adelajda Jonas, później zamężna Hertel.

-- Czyż podobna? — zawołał pan Kręcicki nie posiadając się z zdumienia. — Więc pani jesteś siostrą Pawła Jonasza, który przed dwudziestu laty wyemigrował do Australii?

— Nie inaczej. Ile słyszałam, brat mój nie żyje.

— Tak jest! I pani tu zawsze mieszkałaś?

— Gdzież tam. W tej chwili dopiero powróciłam.

— Czy wskutek inseratu w gazetach?

— I bez inseratu byłabym przybyła, mianowicie do pana, panie mecenasie.

— Do mnie? I to dla czego, jeżeli wolno zapytać?

— To przecież pan tak dobrze wiedzieć powinieneś, jak ja. Dziwnym zbiegiem okoliczności zostałeś pan moim rzecznikiem.

— Tak, tak, racya! Alež wytłumacz mi pani, w jaki sposób, skąd się pani dowiedziałaś, że to ja właśnie pani rzecznikiem zostałem?

— To panu opowiem, — rzekła Adelajda z wielkim spokojem. — Przed sześciu jeszcze może dniami byłam w Brukseli. Przy obiedzie w hotelu rozmawiano o dziwnych szczęśliwych przypadkach, o nagłem zbogaceniu się i t. p. Niektórzy z panów opowiadali ciekawe pod tym względem wydarzenia. Wtem jakiś długi, rudowłosy jegomość, widocznie Anglik, otworzył usta i rzekł: "Ja panom jeszcze piękniejsze zdarzenie opowiem. Przed dwudziestu mniej więcej laty wywędrował do Australii biedny chłopak z jakiegoś miasta" tu wymienił przekręcone nieco nazwisko mojego rodzinnego miasta), "nazywał się Jones, nie — Jonas, tak, tak — tak samo jak ten prorok, co siedział w brzuchu Lewiataha," (a przytem śmiał się na całą gębę, roztworzywszy usta od ucha do ucha); "ten człowiek zebrał sobie, Bóg miły wie w jaki sposób, może przez zakupna ziemi, budowle, albo też spekulacye, czterykroć sto tysięcy funtów." Słysząc to tak się zlękłam, że zbladłam jak trup, i nie wiele brakło, a byłabym zemdlała. "Cóż się to pani stało?" zapytali niektórzy. "O nic:" odrzekłam uspokoiwszy się nieco. "Ów człowiek w Australii, to brat mój rodzony." Wtenczas rudowłosy Anglik powstał i skłonił się przedemną. "A więc jestem pierwszym, który pani powinszuję szczęścia," rzekł; "brat pani umarł, jeżeli pani jeszcze o tem nie wiesz, on testamentem cały majątek zapisał, i radzę pani, natychmiast powrócić do domu. Adwokat pewien z miejsca jego urodzenia — jak on się to nazywa? Kre — Kre — Kre — — — —" "Może Kręcicki?" zapytałam. "Tak jest," odrzekł, "ten jest egzekutorem testamentu." Niedowierzałam jeszcze, ale Anglik rzekł: "Masz pani na to moje słowo honoru. Nazywam się Albert Murchison, jestem członkiem ambasady i jadę wprost z Londynu. Tam też ten olbrzymi majątek złożony jest w urzędzie zagranicznym." Teraz uwierzyłam i zaraz powróciłam tudotąd.

Adwokat stał jak wryty, a tysiące myśli roiły się jemu po głowie. Przed nim stała ta, która mu kiedyś zawracała głowę, a z którą tylko dla tego wtenczas się nie ożenił, bo nie miała majątku. Dziś on już mocno był podstarzały i brzydki, a ona też wprawdzie już nie młoda, ale zawsze jeszcze znośna i—co najważniejsza—właścicielka kilku milionów, czemużby więc dawniejsze uczucia nie miały odżyć na nowo. Wdowa Bilska słuchała całego opowiadania z otwartemi ustami i złożonemi rękami i zdawała się niepojmować wcale, co się dzieje.

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Dorota.

Coście wy tu bajali, to i bies nie zgadnie,
Ale mi Stasio wsystko najlepiej opowie.

Basia.

Jest ci tu tyle innych.

Bartłomiej.

Teras moje zycie,
Poniewas na weselu będą ci panowie,
Zaksątnij się, we wsystko psysposób sowicie,
Idź do chaty. — Ty Stachu i ty tes dziewcyna,
Pomoscie jej, ja chwilkę zajze tes do młyna.

(Odchodzi.)

Wawrzeniec.

A my pójdźmy do karcmy, posilma się ksynkę
Dobrą gozałką.

Miechodmuch.

Ja tes łyknę odrobinkę.

Dorota.

A ja dla was ze Stachem, spoządzę śniadanie,
I wsystkich was do chaty zaprasamy na nie.

Wszyscy.

Pójdziem z ochotą.

Jonek.

Będą tańce i muzyka.
Idźmy, hej wiwat! niech kazdy wyksyka.

Wszyscy *(krzyczą.)*

Wiwat!

(Odchodzą do karczmy.)

Dorota.

Pójdźma więc.

(Ciągnie Stacha do chaty.)

SPRAWA IV.

Bardos *(pokazuje się nieznacznie i kiwa na Basię.)*

Bardos.

Psyt! psyt!

Basia *(spostrzega go.)*

Idźcie, bo ja musę
Troskę zajzeć do karcmy — Jam ci druchna psecie
Panna młoda mnie ceka.

Dorota *(n. s.)*

Tym lepiej.

(Odchodzi ze Stachem.)

SPRAWA V.

Bardos i Basia.

Basia *(niecierpliwie.)*

Cós chcecie?
Spiescie się, bo ja od nich na krok się nie ruse;
Mam ich wejcie zostawić zostawić samych?

Bardos.

Próżna trwoga.
Gdzież jest ojciec?

Basia.

We młynie.

Bardos.

To dobrze, a teraz
Moja Basiu, wleziesz tu w tę wierzbę.

Basia.

Dla Boga!
Ja zaś w wiezbie mam siedzieć, jak sowa.

Bardos.

Oj, nieraz
Siadywałaś w niej w parze, z twoim lubownikiem.

Basia.

Ja zaś?

Bardos.

Tak jest.

Basia *(n. s.)*

Ten człowiek chyba carownikiem,
Wsystko zgaduje,

(głośno.)

Prawda, i zem tam nieras siedziała.

Bardos.

Wchodź, wchódź, a żwawo, będziesz stąd wszystko widziała,
Jak się z Dorotą Stasio obchodzi, ale cię
Przestrzegam, żebyś mi się wyjść nie odważała,
Nim otworzę, bo wszystko zepsujesz.

Basia.

Aj! zjecie
Carta, Pani macocho!

Bardos.

No, dalej.

Basia.

Jus włazę.

(Basia włazi w wierzbę, Bardos ją zamyka.)

Bardos.

To jedna, wnet tu będą i drudzy — Terazże,
Dalej do młyna, tam się za drzwiami zasadzę.
Zapewne Stach uciekać będzie od Doroty,
Ona go zechce gonić, a gdy swe zaloty
Zacznie palić, ja wtenczas męża wyprowadzę.

(Odchodzi do młyna.)

SPRAWA VI.

Dorota, Stach.

Dorota.

Nie uciekajze Stasiu! nie bądźże tak srogi.

Stach.

Moja pani Doroto, puście wy mnie prose.

Dorota.

Gdybyś ty ucuł w sercu, tak srogie pozogi,
Takie męki, jakie ja, niescęsna ponose,
Nie byłbyś tak okrutnym, nie chciejze uciekać,
Pójdź do chaty.

Stach.

Nie mogę.

Dorota.

Wsakze nie ma Basi.

Stach.

Ale psyjdzie.

(Na stronie.)

Tu skubent kazał na się cekać.

Dorota.

Ona tu nie powróci, nie puscą jej nasi.
No, to psynajmniej choć mnie ras pocałuj.

Stach.

Niemogę.

Dorota.

Dla cego?

Stach.

Mam zdradzać Basię moją drogą!
Moja Pani Doroto, zućcie te jamory,
Zyjmy lepiej w psyjaźni — bo, jakby nas który
Sąsiad kiedy wypatsył, a doniósł Bartkowi,
Biada mnie i wasemu byłoby gzbietowi,
Ja tes mam młodą zonkę, którą z dusy kocham.

Dorota.

Ja teś to sama cuje, ze ja trochę płocham.
Ale cós, kieśmi serce tak zranił niebodze,
Ze cyli śpie, cy cuwam, cy siedze, cy chodzę,
Tyś mi psytomny, zawse za tobą się bidzę.
Więc choć ostatni ras ściśnij mnie.

(Chwyta go za szyję, w tem Bardos i Bartłomiej wchodzą.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)